

Co umiera, powinno umrzeć
Natalia Molenda

Jaś westchnął ciężko. Jego blada, opuchnięta buzia wykrzywiła się w grymasie cierpienia. Nie wiedziałam czy śpi, czy może czuwa, bo już od wielu godzin nie otwierał prawego oka. Lewe zamknęło się na zawsze kilka miesięcy wcześniej. Jaś miał zaledwie półtora roku, gdy usłyszeliśmy, że jest chory na nowotwór gałki ocznej. Wkrótce potem stracił jedną z nich i został poddany długotrwałej i bolesnej chemioterapii. Niestety, miesiąc temu drugie oko także zaczęło chorować, a teraz nasz synek umierał.

– Bardzo mi przykro. Ale nic nie możemy zrobić – powiedział wczoraj lekarz.

Choroba była zaawansowana, medycyna wobec niej bezradna, a terapie za granicą poza naszym finansowym zasięgiem. Zresztą Jaś nie przeżyłby podróży do Stanów.

– Idź, prześpij się – powiedział mąż. – Ja przy nim zostanę.

Nie miałam siły protestować. Nie spałam, nie jadłam i nie piłam niczego poza kawą od trzech dni i byłam wykończona. Wróciłam do domu i wzięłam kąpiel. Ale nie mogłam tak po prostu pójść spać. Siadłam przed komputerem i po raz kolejny zaczęłam szukać w sieci ratunku dla syna. Godzinę później pisałam rozpaczliwego maila do „terapeuty duszy i ciała”, który oferował „tanią i skuteczną pomoc medyczną” nawet w „przypadkach beznadziejnych”. Było wpół do pierwszej, dlatego zdziwiłam się, gdy już kwadrans później dostałam odpowiedź. Terapeuta chciał nam pomóc, zaproponował sesję terapeutyczną, po której synek miał wyzdrowieć.

Zabraliśmy Jasia do domu, w którym czekała na niego ukochana babcia i kot. Przez kolejne dni na zmianę dbaliśmy o niego, podając mu kroplówki, myjąc, przewijając, a on leżał z zamkniętymi oczyma, wzdychał, płakał i pojękiwał, chudnąc i malejąc w oczach. Wreszcie – choć mąż nie był przekonany – zamówiliśmy wizytę terapeuty.

Od wejścia zrobił na nas bardzo dobre wrażenie. Młody, atrakcyjny, zadbany i pachnący czymś świeżym. Przywitał się, przedstawił się – do dziś nie pamiętam jak miał na imię – wysłuchał całej historii Jasia. Stojąc nad łóżkiem synka, opowiedział jak będzie wyglądać „zabieg”. Wyjaśnił, że dziecko może płakać, krzyczeć, szarpać się i wydawać nieprzyjemne odgłosy, ale jest to częścią procedury. Zналиśmy to – płacz, krzyki, skomlenia, wymioty, gorączki, biegunki. Choroba Jasia bardzo nas doświadczyła.

Gdy znachor pochylił się nad łóżkiem synka, moje dziecko schowało się głębiej w poduszki i odwróciło głowę. Myślałam wtedy, że po prostu przestraszyło się obcej osoby. Ale gdy znachor go dotknął, chłopiec nagle otworzył jedyne ocalałe oko i krzyknął: „Mama, nie!”. Przeraziłam się, bo od dawna nie słyszałam żadnych słów synka, ale nic nie robiłam. Czułam się jak sparaliżowana. Zaraz potem terapeuta złapał Jasia za drugą rękę i zaczął coś recytować. Chłopiec kaszlnął kilka razy i krzyknął, rzucił się na łóżku, a potem zamarł, jakby zapadł w głęboki sen.

– Teraz proszę dziecko obserwować. A jak się obudzi dać mu pić i jeść – powiedział.

Przez następną dobę czuwaliśmy przy łóżeczku Jasia. Ale rozbudzona nagle nadzieja z każdą godziną słabła. Mąż chciał kilka razy wzywać karetkę, bo wydawało mu się, że nie czuje już pulsu synka. Wreszcie drugiego dnia nad ranem chłopiec otworzył oko, usiadł, pokręcił główką i popatrzył na mnie: – Mamusia! – powiedział, a potem przeraczkowo po pościeli wprost w moje objęcia.

Myślałam, że zemdleję ze szczęścia. Moje dziecko tuliło się do mnie, moje dziecko mówiło i uśmiechało się. Tak jak wtedy, gdy było zdrowe. Pobiegłam z Jasiem na rękach do kuchni, gdzie mąż i mama szykowali śniadanie.

– Co ty robisz? – skrzywił się Łukasz.

Jaś odwrócił główkę i pokazał palcem w stronę taty.

– Ajko! Ajko! – powiedział. – Ajko, tata!

Łukasz z niedowierzaniem patrzył na synka, a mama przeżegnała się. Pół godziny później Jaś pochłaniał drugą porcję jajecznicy. Potem przez godzinę oglądał ulubione książeczki, jeździł autkami i segregował klocki. Na obiad zjadł talerz makaronu z sosem, a całe popołudnie bawił się w piaskownicy w „babko, babko”. Jakby nigdy nie chorował.

– Cud! – rzucił lekarz, patrząc na wyniki. – Po guzie i przerzutach nie ma śladu. Co prawda, coś zmieniło się w obrazie mózgu synka. Widzę tu kilka cieni, z którymi nie spotkałem się wcześniej, nie umiem ich zinterpretować. Ale nie przejmowałbym się na razie.

Nasz dom przez kolejnych kilka dni był wypełniony radością. Odzyskaliśmy dziecko i cieszyliśmy się każdym jego słowem, zabawą i uśmiechem. Szybko jednak dostrzegłam, że Jaś zachowuje się inaczej niż przed chorobą. Stał się bardziej nerwowy, krzyczał, często rzucał z wściekłością zabawkami, raz nawet wycelował w naszego kota, Feliksa, ciężkim klockiem. Próbowalam się jednak tym nie przejmować, przecież Jaś wchodził w trudny wiek, zwany „buntem dwulatka” i jego zachowanie absolutnie mieściło się w normie, poza tym właśnie wyszedł z ciężkiej choroby, która zabrała mu jedną czwartą życia.

– To nic takiego – uspokajałam męża, gdy i ten zauważył dziwne zachowanie naszego synka. – Naturalny etap rozwoju.

Mimo wszystko coś mi się nie podobało. Miałam wrażenie, że teraz jego dziecięcym emocjom, złości czy frustracji, towarzyszy coś jeszcze. Coś złego, brudnego... Nienawiść?!

Któregoś dnia zostawiłam Jasia samego na chwilę, żeby włączyć pranie. Wracając z pralni, już na korytarzu usłyszałam kocie skomlenie, wpadłam do pokoiku dziecka i zobaczyłam jak Jaś dusi Feliksa. Zaciśnął na szyi kota swoje małe, pulchne rączki. Z okropnym błyskiem w prawym oku i grymasem niemal demonicznie wykrzywiającym buzię syn wydawał ciche parsknięcia.

– Janek! – krzyknęłam. – Co ty robisz?! – podbiegłam i wyrwałam kota z jego zaciśniętych pięści.

– Wkurwia mnie ten głupi ścierściuch – powiedział nie swoim, chropowatym głosem, a potem się rozplakał. Po chwili tulił się do mnie, smarkając mi w koszulkę i powtarzając „mama, przeplaszam, przeplaszam, mama, mama, kotek dobry, mama, przeplaszam”.

Może i bym zapomniała o tej scenie, bo lubię zaklinać rzeczywistość i wmawiać sobie, że wszystko jest dobrze, gdyby nie to, że tydzień później mąż znalazł na wjeździe martwego Feliksa. Przyniósł go do domu, położył małe, rude ciało na serwetce i się rozplakał.

– Biedy... Musiało potrącić go jakieś auto, nie ma śladu krwi... Był z nami od tylu lat, dobry, wierny... – szepnął.

Przytuliłam męża i spojrzałam na kota. Wyobraziłam sobie mojego syna mordującego zwierzę, które spędziło z nami dekadę i wstrząsnął mną dreszcz.

Wkrótce okazało się, że wszyscy martwimy się o Jasia. Mąż uważał, że trzeba chłopcu powtórzyć badania, może ten cień w mózgu, który zobaczył lekarz, to po prostu przerzuty, może syn wcale nie wyzdrowiał. Mama twierdziła, że ten terapeuta był zwykłym szarlatanem i rzucił na jej wnuka jakiś zły urok. Dla mnie obie te teorie brzmiały prawdopodobnie. Zrobiliśmy więc synkowi kompleks badań. Psycholog stwierdził, że dziecko odreagowuje chorobę i potrzebuje ciepła i bliskości. Onkolog nic nie powiedział – spojrzał na wyniki syna, pokręcił głową i ze ściągniętymi brwiami rzucił: „nic tu nie ma”. Poszliśmy nawet do kościoła, ale Jaś nie zaczął się wic w męczarniach ani gdy ksiądz zrobił mu na czołe znak krzyża, ani gdy został pokropiony święconą wodą.

I nadal dawał nam popalić. Pluł, bił, gryzł, tłukł naczynia, sikał do łóżka.

To była niedziela. Zaraz po śniadaniu Jaś zabrudził pieluszkę, ale gdy chciałam go przebrać, zaczął uciekać po korytarzu. Po chwili sam sobie ściągnął pampersa i wysmarował jego zawartością całą ścianę, śmiejąc się przy tym jakoś tak okropnie, szyderczo, znów nie swoim głosem. Babcia, bardzo już sfrustrowana, nie wytrzymała i trzasnęła Jasia w nagą pupę. Syn spojrzał na nią z błyskiem nienawiści w jednym oku i rzucił się w jej stronę z taką siłą, że upadła na witrynę z książkami. Zaczął ją bić, gryźć, obkładać. Mama krzyczała. A ja? Stałam sparaliżowana, jak wtedy gdy „terapeuta” wykonywał nad ciałem mego chłopca swoje hokus-pokus. Nagle zobaczyłam jak Jaś podnosi w rękach wielką encyklopedię, która musiała ważyć ze trzy kilo i celuje nią w twarz mojej mamy. Głuche trzaśnięcie i jeszcze jedno, i jeszcze... A potem mokre plaśnięcie... Nie mogłam na to patrzeć, nie mogłam też zamknąć oczu, a twarz mojej mamy ginęła pod czerwoną krwawą miazgą! Wreszcie zdałam sobie sprawę z tego, że patrzę na scenę morderstwa, ale Jaś nie bierze w tym udziału. Na mojej mamie siedziało coś... demonicznego... Nagi, obsrany, zakrwawiony chochlik nie przestawał jej uderzać, coraz głośniejszym śmiejąc się okropnym, zgrzytliwym głosem. Już wiedziałam, że mama nie żyje, że prawdziwy Jaś też nie żyje, być może od dawna.

– Co umiera, powinno umrzeć – krzyknął w moją stronę.

Gdy tylko paraliż puścił, zemdlałam.

Oficjalna wersja była taka: złodziej włamał się do naszego domu i babcia przyłapała go na gorącym uczynku. Złoczyńca przestraszył się i zamordował babcię na oczach córki i wnuka, którzy doznali szoku. Wyglądało to przyzwoicie i w papierach, i w mediach. I mąż bardzo chciał w to wierzyć. A ja nie wiedziałam, jak powiedzieć mu prawdę.

Zostawiliśmy Jasia na kilka dni w szpitalu na obserwacji, a kiedy wrócił do domu początkowo zachowywał się znów jak słodki aniołek. Tulił się do nas, bawił się grzecznie, z apetytem zjadał wszystkie posiłki. Ale to coś w nim, to złe, nie chciało żebym zapomniała.

– Cieszę się, że tej kurwy już nie ma – powiedział lodowato.

– Ty możesz być następna, mamusiu – usłyszałam przy śniadaniu.

– Lepiej puść mi jakiegoś pornola, a nie to gówno – syknął, gdy mąż włączył mu bajkę.

Może po prostu zwariowałam. Bałam się własnego dziecka.

Zaczęłam szukać w internecie informacji na temat „terapeuty”, ale nie tylko nie znalazłam żadnego komentara odnośnie jego usług. W sieci nie było żadnej wzmianki o nim. Strona, która odwiedziłam dawno temu pewnej nocy, nie istniała, podobnie jak fanpage w mediach społecznościowych i maile, które do siebie wysłaliśmy.

– Musi mi pan powiedzieć, co pan zobaczył – powiedziałam, wchodząc bez pukania do gabinetu naszego lekarza. Próbowalam się do niego umówić od kilku dni, ale ciągle mnie zbywał. – Przyjmę każdą, nawet najgorszą prawdę...

– Nic... – rozłożył ręce.

– Proszę... – szepnęłam na granicy łez.

– Problem w tym, że właśnie... sam nie wierzę, że to mówię... nic. Jakby chłopiec nie miał nic w środku. Nie miał mózgu! – pisnął i nerwowo zaciągnął się e–papierosem.

Mama miała rację. Sprowadziliśmy przekleństwo do domu. W ciele naszego syna zamieszkał jakiś parszywy demon. Nie wiedziałam, co zrobić. Mamy już nie było, mąż na pewno nie uwierzy w tę historię, a Jaś...

– Wiem, że knujesz coś pizdo jedna – powiedział, jak wróciłam do domu.

– Janek! Jak ty się zwracasz do mamy?! – krzyknął Łukasz.

– Tak jak mi się podoba, złamasie – zaśmiał się okrutny chochlik. – Taka z niej niezła dupa, a marnuje się z tobą łysy cwelu – śmiał się dalej. – Hej, laleczo – spojrzał na mnie, a w jego oku płonęła nienawiść i dzika żądza – może się zabawimy, obciągniesz swojemu Jasiowi?!

Zdrętwiałam. Mąż przeciwnie – sprawnym ruchem złapał dzieciaka wpół, przełożył przez kolano i spuścił porządne lanie. Nienawidziłam klapsów, nigdy ich nie pochwalałam, ale nie chciałam mężowi przeszkadzać, czułam ulgę, sama już dawno chciałam to zrobić. Jaś, a raczej to, co w Jasiu zamieszkało, nie przejęło się jednak – śmiało się dziko, a wreszcie wywinęło się Łukaszowi i sprawnym ruchem, zbyt sprawnym jak na dwulatka, ściągnęło z blatu nóż do sera i zaczęło nim wymachiwać.

– Odłóż to – krzyknęłam.

– Eee, nie! – zachichotał. – Śmierdzą ci giry, złamasie – rzucił, podbiegł do męża i wycelował nożem prosto w jego lewą stopę. – Co umiera, powinno umrzeć!

Łukasz krzyknął, gdy ostrze spadło mu na nogę. Osunęłam się na ścianę i zamarłam. Skłamałabym jednak, mówiąc, że znów doznałam tego dziwnego paraliżu. Nie. A jednak nie potrafiłam już nic zrobić, byłam przerażona. Zdruzgotana. Płakałam i patrzyłam tępo, jak demon mierzący niespełna metr nożem do sera dziurkuje mojego męża. Jego ruchy były szybkie i sprawne i choć Łukasz próbował uciekać, bronić się, ząbkowane ostrze co chwilę spadało na którąś stopę, łydkę, rękę, a wreszcie chochlik wskoczył na stół i wycelował nóż prosto w tchawicę Łukasza. Trysnęła fala krwi. Demon odwrócił twarz w moją stronę, cały skąpany w jusze, niepodobny do mego chłopczyka, parszywy, brudny, wielki i przerażający zaśmiał się i ruszył na mnie. Byłam pewna, że i mnie zabije.

Ale nie zrobił tego.

Znaleźli mnie sąsiedzi. Przez miesiąc leżałam na oddziale psychiatrycznym, bo nikt nie chciał wierzyć w moją wersję wydarzeń. Leki jakie dostawałam, pogłębiały mój stan, będący mieszkanką lęku, rozpacz i samotności. Bałam się, że demon po mnie wróci, rozpaczalam po stracie wszystkich bliskich, a samotność zwłaszcza w nocy po prostu łamała mi serce. Miałam kochanego męża, cudnego synka, oddaną mamę, kota. A teraz... Nawet do starego domu nie miałam siły wracać.

Wreszcie wypuszczono mnie ze szpitala i oczyszczono z podejrzeń. Policja doszła do wniosku, że jestem zbyt drobną i słabą kobietą, by móc zadać takie obrażenia. A kilka dni później w lesie pod miastem znaleziono okrutnie okaleczone ciało Jasia.

– Zwyródniałcy porwali go i zakatowali – powiedział komisarz. – Bardzo mi przykro.

– Co umiera, powinno umrzeć... – powiedziałam.

Staliśmy w kostnicy, gdzie miałam zidentyfikować zwłoki. Podeszłam więc do stołu i z ulgą stwierdziłam, że rzeczywiście leży na nim Jaś. Objęłam martwe, zimne ciało synka i zapłakałam gorzko. Nie wiem, gdzie poszedł sobie demon, ale najważniejsze, że już nie dręczy mojego chłopca.